

Kochanowo i okolice

OSOBY:

Zespół Exterminator w składzie:

MARCYŚ – gitara, wokal

MAKAR – gitara basowa

JAROMIR – perkusja

LIZZY – gitara

Pozostali:

MAGDA

MARCYŚ-JUNIOR

DZIENNIKARKA

WÓJT

Oraz:

PAN ZBYSZEK

Scena 1

Scena pogrążona w mroku. Nagle rozlega się przeszywający dźwięk spadającego na podłogę talerza od perkusji.

MARCYŚ:

Niech to szlag!!!

(pauza)

Panie Zbyszku! Niech pan włączy światło, przecież ja się tu zabiję po ciemku.

Lekkie rozjaśnienie. Mały stół mikserski, na którym stoi efektowna wieża z odtwarzaczem CD.

MARCYŚ:

Dzięki, panie Zbyszku. Dobre i to.

Marcyś zaczyna manipulować przy wieży. Wyciąga płyty, przegląda je, wreszcie jedną z nich umieszcza w odtwarzaczu.

MARCYŚ (do publiczności):

Wiecie, co to jest death metal? Nie, nie, nie. To, że wiecie, z kim chodzi Doda, nie znaczy jeszcze, że wiecie, co to jest death metal. Nergal nie ma z tym nic wspólnego.

Death metal, proszę państwa, to śmiertelnie poważna sprawa. Zresztą – nie będę gadał, puszczę wam coś i wszystko stanie się jasne.

Marcyś naciska odpowiedni klawisz odtwarzacza. Z głośników dobiegają jednak tylko okropne szумы i trzaski.

MARCYŚ:

No jasne! Ktoś pomieszał kable. Panie Zbyszku!!!

Pojawia się Pan Zbyszek.

MARCYŚ (wskazując na plątanie kabli):

Zajrzy pan tam?

Pan Zbyszek ziewa i zagląda we wskazane miejsce.

MARCYŚ:

Co, obudziłem pana?

Pan Zbyszek nie odpowiada, ale pochyla się nad sprzętem.

MARCYŚ:

No tak... To może trochę potrwać, więc...

W tej samej chwili w głośnikach rozlega się ciche pstryknięcie i nagle przestaje szumieć, a Pan Zbyszek schodzi ze sceny.

MARCYŚ:

Aha, dobra. Czyli już. Szybko poszło. Jednak co fachowiec to fachowiec.

Marcyś ponownie włącza odtwarzacz płyt. Tym razem z głośników dobiegają dźwięki piosenki „The Final Countdown” zespołu Europe [lub oczywiście czegokolwiek w tym stylu – Bon Jovi, Scorpions, Van Halen itp.]. Po kilkunastu sekundach Marcyś wyłącza płytę.

MARCYŚ:

No i co? Ładne? Otóż to nie jest death metal. Ale puszcę wam coś innego.

Marcyś wciska klawisz odtwarzacza. Z głośników dobiegają pierwsze takty piosenki „Nothing Else Matters” grupy Metallica.

MARCYŚ:

To też ładne, prawda? Ale to też nie jest death metal. To nawet nie jest zwykły metal, to jest po prostu upadek kapeli, która dla rozwoju gatunku zrobiła więcej niż... Ale dobra, mniejsza o to. Krótko mówiąc: jest heavy metal, jest thrash metal, jest black metal, jest death metal, jest... Jak by to wam, kurcze, wytłumaczyć? Nieważne. Przyjdzie czas, to posłuchacie.

No i w tym death metalu jest tak, że każda porządna kapela ma swoje zasady. My też mieliśmy. O kompromisach nie mogło być mowy. Sęk w tym, że nikt nigdy nie proponował nam żadnego kompromisu. Ale w końcu się doczekaliśmy. Oczywiście – za całe zamieszanie jak zwykle odpowiadał nasz ukochany przyjaciel Makar, ten degenerat, lump i narkoman. I jedyny basista w okolicy, który potrafił za nami nadażyć. Oczywiście pod warunkiem, że wcześniej zdążył na próbę. Czekanie na Makara było naszym piątkowym rytuałem. Myślicie, że metalowcy odprawiają czarne msze? No to się naczytaliście Onetu. Nic z tych rzeczy, proszę państwa. To są bujdy na resorach. Nam wystarczyły grupowe seanse bezsilnej nienawiści wobec naszego kolegi. W tamten piątek, pod koniec kwietnia, wyglądało to akurat tak...

Scena 2

Zespół Exterminator bez Makara. Za zestawem perkusyjnym wisi wypłowiała płachta z wkomponowanym w pentagram napisem Exterminator.

JAROMIR:

Czekam jeszcze pięć minut i idę do domu.

LIZZY:

A co ci się tak śpieszy, Jaro, co?

JAROMIR:

W telewizji powtarzają „Sześć stóp pod ziemią”.

LIZZY:

A nie mógłbyś oglądać czegoś normalnego? Jak normalni ludzie? „Lostów” na przykład?

JAROMIR:

Mógłbym, Lizzy. Ale nie chcę.

LIZZY:

No to jak już oglądasz serial o zakładzie pogrzebowym, to weź się chociaż zainspiruj. Tekst jakiś napisz...

JAROMIR:

Najpierw musielibyśmy wymyślić jakiś nowy kawałek.

LIZZY:

No właśnie. Ale lepiej siedzieć i narzekać, nie? Najlepiej na Makara.

JAROMIR:

Czeka człowiek cały tydzień na ten piątek, żeby się odstresować, a ta menda jak zwykle ma to w dupie.

LIZZY:

Stres bibliotekarza. Niesamowite.

JAROMIR:

Wiesz, po ile teraz chodzi euro?

LIZZY:

Cztery czterdzieści. [tu byłoby fajnie podawać kurs z danego dnia]

JAROMIR:

Piękny mi kredyt wcisnąłeś.

LIZZY:

Trzeba było nie brać.

JAROMIR:

No zaraz szlag mnie trafi normalnie...

MARCYŚ *(do publiczności):*

Fajnie, nie? No cóż, właśnie tak z reguły wyglądały piątkowe próby naszej kapeli. Oto skład marzeń *(wskazuje na Jaromira)*: Jaromir, szybki jak błyskawica perkusista i tekściarz naszej kapeli, prywatnie mąż i ojciec oraz pracownik Miejskiej Biblioteki Publicznej w Kłodzku, oraz Lizzy, wirtuoz gitary, nieślubne dziecko Vaia i Satrianiego, prywatnie pracownik banku,

czyli koleś w permanentnym kryzysie psycho-finansowym. O mnie jeszcze będzie, więc się chwalić nie będę. Najgorsze, że wciąż nie ma Makara...

(pauza)

Ale nazwa kapeli niezła, nie? Exterminator... Jaromir co prawda chciał, żebyśmy się nazwali jakoś oryginalniej, Ropień albo chociaż Ścierwo, ale Lizzy uznał, że z takim szyldem nie mamy szans na rynkach zachodnich i w końcu stanęło na neutralnym Exterminatorze, **mój pomysł, jakby kto pytał**. Jak widać, i tak nic to nie dało. Przełom musiał jednak nadejść. Jedni robią furorę w liceum, inni dopiero po trzydziestce. A ten dzień dopiero się przecież zaczynał.

(w stronę kolegów)

Lizzy, bierz bas. Zagrajmy cokolwiek, bo szkoda czasu.

Wpada Makar.

MAKAR:

Chłopaki, sorry za spóźnienie! Ale mam rewelacyjną wiadomość.
(wskazując Marcysia) I dla ciebie, i dla kapeli. Normalnie – rewelka!

MARCYŚ:

Wiadomość? Jaką?

JAROMIR:

Gdzieś ty był, człowieku, co?

LIZZY:

Czekamy prawie godzinę. Jaro już miał się zwiijać do domu. Wiesz, on ma kredyt na 60 tysięcy i jest w potwornym stresie...

JAROMIR:

Zamknij się.

MAKAR:

No to by pożałował, gdyby poszedł, bo mam takiego newsa, że... A spóźniłem się, bo musiałem jeszcze parę spraw dopiąć, wykonać kilka telefonów i...

MARCYŚ:

Co ty bredzisz, Makar?

MAKAR

No więc to było tak: jakieś dwa tygodnie temu, w sobotę, stoję sobie w sklepie, poszedłem do spożywczaka po bułki, a tu nagle wchodzi wójt. I taki cały dumny zaczyna opowiadać sklepowej, że w Kochanowie będą w tym roku powiatowe dożynki, że on to wszystko załatwił i że...

JAROMIR:

O w mordę, znowu ma słowotok.

MAKAR:

... i że na te dożynki... A normalnie, mówię wam, będzie niezły wypas, wójt opowiadał, że...

MARCYŚ:

Makar, człowieku, znowu się zjarałeś? Powiesz w końcu, o co chodzi, czy nie?

MAKAR:

No właśnie mówię. Na tych dożynkach wystąpi pewna bardzo znana kapela...

JAROMIR:

O masz, poważna sprawa.

MAKAR:

Ni kpij, Jaro. Zgadnij jaka kapela.

JAROMIR:

Nie mam pojęcia. Budka Suflera?

MAKAR:

Nie.

JAROMIR:

Feel?

(tutaj oczywiście mogą się chłopaki przerzucać nazwami)

MAKAR:

Nie.

MARCYŚ:

Jezu, Makar, o co ci chodzi? Mamy próbę, ty oczywiście się spóźniasz...

MAKAR:

To twoja ulubiona kapela, Marcyś.

MARCYŚ (*kpiąco*):

Morbid Angel?

MAKAR

O Jezu...

MARCYŚ:

Cannibal Corpse?

MAKAR:

Nie, durniu. Kombi!!!

MARCYŚ:

Kombi?

MAKAR:

A co, nie cieszysz się?

MARCYŚ:

Makar, to nie jest żadne Kombi. Kombi to było kiedyś, teraz to jest marna podróba.

MAKAR:

Jak – podróba?

MARCYŚ:

Nie ma z nimi Łosowskiego.

MAKAR:

Kogo?

MARCYŚ:

Łosowskiego. Łysego od klawiszy.

MAKAR:

Aha. Taaak?... Nie wiedziałem... *(do reszty zespołu)* Wiedzieliście?

JAROMIR:

Jakoś się nie przyglądałem...

LIZZY:

Ja tam kojarzę głównie Skawińskiego...

MAKAR:

Kurde, myślałem, że się ucieszysz. Dożynki wypadają dokładnie w twoje urodziny.

MARCYŚ:

Chyba wolę inny prezent.

MAKAR:

To szkoda, bo...

MARCYŚ:

Bo co?

MAKAR:

Bo... no, mówiłem, że to dobra wiadomość i dla ciebie, i dla kapeli...

JAROMIR:

Już się boję...

MARCYŚ:

Makar, gadaj! Coś ty, baranie, wymyślił?

MAKAR:

Hm... No, bo... Bo... jeszcze tam w sklepie zagadałem z wójtem, potem przypilnowałem sprawy w urzędzie i udało mi się wkręcić nas na support przed Kombi.

MARCYŚ:

Co???

MAKAR:

No, zagramy przed Kombi.

MARCYŚ:

Żartujesz, no nie?

MAKAR

Nie żartuję.

MARCYŚ:

Nie wierzę normalnie. Ty musisz tyle tej trawy palić? A wy co rzycie jak durnie?

JAROMIR:

Jednak dobrze, że nie poszedłem do domu. Na ciebie Makar zawsze warto zaczekać.

MAKAR:

Kurde, byłem pewien, że...

MARCYŚ:

Doceniam wysiłek, gratuluje nowego dilera, ale będziesz to musiał odkręcić.

MAKAR:

Nie da się.

MARCYŚ:

Jak: nie da się?

MAKAR:

Nie da się, bo wójt w międzyczasie pociągnął za parę sznurków, skontaktował się z menagementem Kombi i sprawa jest już przyklepana. To za daleko zaszło i nie możemy się wycofać.

MARCYŚ:

O Matko Boska.

MAKAR:

Nie możemy się wycofać i lepiej, żebyśmy chwilowo nie podpadali wójtowi, bo jest jeszcze jedna sprawa...

MARCYŚ:

Jeszcze jedna?

(do publiczności)

Tu należy się wyjaśnienie. Po pierwsze: Makar. Koleś, który całe życie obijał się, palił gigantyczne ilości marihuany, słuchał Genesis i ubierał się jak niedorozwinięte dziecko-kwiat, kompletnie rujnując nasz wypracowany image. Odkąd wróciliśmy do Kochanowa, pracował w tartaku. A studia kończył razem z nami. Mówiłem, wszystko tylko nie kulturoznawstwo.

Idź na bibliotekarstwo jak my, wtedy świat stanie przed tobą otworem. Ale się zaparł. Kochałem tego gościa, tak jak i resztę chłopaków, ale jedno nie ulegało wątpliwości – Makar był pierdolnięty. *(pauza)* Po drugie: Kombi. Pamiętam tamten dzień, jakby to było wczoraj...

Na podłodze kuca chłopiec w wieku ok. 9 lat (Marcyś-Junior) i czyta komiks „Kajko i Kokosz”, raz na jakiś czas zerkając na ekran telewizora marki Rubin. Idą właśnie „Przeboje Dwójki”.

MARCYŚ *(wskazując chłopca):*

To ja. Jest rok 1984. Rodziców akurat nie było, bo oboje mieli drugą zmianę w pracy, na dworze lało, nie mogłem wyjść na boisko, więc czytałem „Kajka i Kokosza”. „Festiwal czarownic”, wtedy świeża rzecz. Mieliśmy jeden zeszyt na całą naszą czwórkę. Czytałem go właśnie po raz piętnasty z rzędu, gdy...

Marcyś przerywa, bo w TV zapowiadają właśnie najnowszą piosenkę zespołu Kombi. To „Nie ma zysku”. Marcyś-Junior, wciąż czyta, ale po chwili podnosi wzrok i od tego momentu jak urzeczony wpatruje się w teledysk.

MARCYŚ:

O, właśnie załapałem.

Chłopiec wręcz kamienieje z wrażenia. Malec siedzi nieruchomo jak głaz i wytrzeszcza oczy w zachwycie.

MARCYŚ:

Dzisiaj się mówi: doznałem. No więc wtedy – to był kwiecień 1984 roku, dokładnie na pięć miesięcy przed moimi dziewiątymi urodzinami – doznałem jak nigdy wcześniej i tylko kilka razy potem... No, nie mogę, wrzuszam się, cholera jasna...

(pauza)

Nie, no ja wiem, że to nic takiego, po prostu siedziałem przed telewizorem i nagle zainteresował mnie teledysk zespołu, o którym nie miałem wcześniej zielonego pojęcia, bo muzyką w ogóle się nie interesowałem, a moim jedynym idolem był Włodzimierz Smolarek, ale wiercie mi – to było prawdziwe objawienie. Od tamtej pory stałem się największym fanem Kombi na świecie. *(pauza)* I niestety zostało mi tak do dziś. Mam wszystkie płyty, wszystkie single, wszystkie plakaty, w latach 80. byłem członkiem dwóch fanclubów jednocześnie, a kiedy kapela w 1992 roku się rozpadła, przez całe lata miałem nadzieję, że się jeszcze kiedyś zejdą. Ale i ten rozpad miał swoje dobre strony. Solowa kariera Grzegorza Skawińskiego, a chciałbym przypomnieć państwu, że ten artysta pierwszą płytę pod własnym nazwiskiem nagrał w 1989 roku, zrobiła ze mnie metalowca. Dzięki Skawie zacząłem grać na gitarze. No, ale kiedy niedawno doszło do tej reaktywacji... *(pauza)* Sami wiecie, dzisiejsze Kombii to nie jest to samo Kombi co kiedyś. To po prostu czysta uzurpacja. Jest Skawa, jest Tkaczyk, ale nie ma Łosowskiego, więc i nie ma o czym gadać. Wszyscy to wiedzą, ale ten kretyn Makar – nie.

(do Makara):

Gadaj. Co jeszcze wymyśliłeś?

JAROMIR:

No, no... Robi się coraz ciekawiej...

LIZZY:

Kurde, Marcyś, weź go tylko nie wyrzucaj z kapeli... Nie będzie z kim grać, a ja do roli basisty na pewno zredukować się nie dam, nie ma mowy.

MARCYŚ *(do Makara):*

Gadaj, mówię!

MAKAR:

O matko, Marcyś, wyluzuj, wiesz przecież, że chciałem dobrze...

MARCYŚ:

Wiem. Ty zawsze chcesz dobrze, ale rzadko ci wychodzi.

MAKAR *(z nową nadzieją):*

No, ale posłuchaj! Tak się składa, że koncert to nie wszystko. Jest jeszcze stypendium do wyjęcia. Dwanaście tyśiąków dla muzycznie uzdolnionych młodych artystów z obszarów objętych jakimś tam unijnym programem. Dowiedziałem się o tym, jak łąziłem do urzędu w sprawie tych dożynek. I wójt mi powiedział, że nie mają w gminie żadnych kandydatów, a wszystko trzeba załatwić do końca miesiąca, bo za rok już tej kasy nie dostaną i podpadną jakiejś komisji czy coś. Mamy te dwanaście tysięcy w kieszeni, panowie.

LIZZY:

Nie, no fantastycznie! Kasa to jest już jakiś konkret!

MAKAR:

Ale jest niestety jeden mały kruczek...

MARCYŚ:

O, ciekawe jaki.

MAKAR:

Na dożynkach mamy zagrać spokojnie. Żadnego death metalu. Tu się mają zjechać jacyś ludzie z PO i z PSL-u, no, poważna sprawa. Lepiej nie szokować establishmentu. Tak na wszelki wypadek.

MARCYŚ:

A powiedziałaś w ogóle wójtowi, co my gramy?

MAKAR:

Próbowałem mu wyjaśnić, ale on się zatrzymał gdzieś na etapie Skaldów i Trubadurów, więc po prostu obiecałem, że się dostosujemy do ogólnego klimatu imprezy.

MARCYŚ:

Jezus Maria...

LIZZY:

E tam, Marcyś, damy radę. Zagra się coś spokojnego i tyle.

MARCYŚ:

Lizzy, my nie mamy w repertuarze spokojnych kawałków.

LIZZY:

No to co? Wymyślimy coś na poczekaniu. Dla mnie wymyślić kawałek w stylu Myslovitz to żaden problem. Albo w stylu tego, no...

MARCYŚ:

Lizzy, zamknij się, proszę cię. *(do Jaromira)* A ty co tak nic nie mówisz?

JAROMIR:

Odebrało mi mowę normalnie. Wreszcie mamy menadżera. Dziejowa chwila.

MARCYŚ:

Czyli co? Chcecie wystąpić przed Kombi? Kombi przez dwa „i”? Na dożynkach? Ludzie!

LIZZY:

Moim zdaniem trzeba się nad tym poważnie zastanowić. To może być dla nas spora szansa...

MARCYŚ:

Szansa? Niby na co?

LIZZY:

No... szansa na sukces, oczywiście.

MARCYŚ:

Jaki sukces? Występ na dożynkach, przed Kombii, w jakimś festynowym repertuarze, to ma być szansa na sukces?

LIZZY:

Lepsze to niż nic. Kiedy myśmy ostatnio zegrali jakiś koncert, co?

MAKAR:

Sześć lat temu, w Kłodzku, na Wielkiej Orkiestrze.

LIZZY:

No właśnie. A od tego czasu nic.

MARCYŚ:

A co ma być? Gramy sobie dla przyjemności i tyle. Mieliśmy swoje pięć minut, ale to było dawno i nieprawda, we Wrocławiu, nie tu, a teraz jesteśmy...

LIZZY:

Teraz też nic straconego. Jak zagramy przed Kombi, to może wpadniemy komuś w oko. Skawińskiemu na przykład. Facet jest w branży od wieków, może mógłby nam pomóc, komuś nas polecić...

JAROMIR:

Ja bym akurat Skawie w oko wołał nie wpadać...

MARCYŚ:

Myślisz, że on będzie chciał nas oglądać? Chyba zwariowałeś. Wpadną na stadion na minutę przed wejściem na scenę. I zaraz spieprzą do domu.

LIZZY:

Ale jakaś szansa istnieje.

MARCYŚ:

Lizzy, przecież to jakiś idiotyzm. Jesteśmy deathmetalową kapelą. Deathmetalową!

LIZZY:

Wiem. No i co z tego?

MARCYŚ:

To z tego, że trzeba się czegoś trzymać. Mamy się sprzedać za dwanaście tysięcy i wystąpić na dożynkach? My? „Majteczki w kropeczki” mamy tam zagrać czy jak?

LIZZY:

Przesadzasz.

MARCYŚ:

Nie przesadzam. (*do Jaromira*). Odezwij się, kurwa, bo ja już nie daję rady.

JAROMIR:

Hmm... Dwanaście tysiaków piechotą nie chodzi...

MAKAR:

O, widzisz! Moglibyśmy coś za to kupić dla zespołu.

MARCYŚ:

Co na przykład?

LIZZY:

Cokolwiek! Przecież to, na czym gramy, pamięta jeszcze komunę.

MARCYŚ:

Na to nasze piątkowe pykanie wystarczy.

LIZZY:

E tam, ten cały nasz sprzęt niedługo się rozleci. Popatrz na swój wzmacniacz. To jest zabytek.

MARCYŚ:

Ma piękne, szlach...

LIZZY:

Tylko mi nie mów, o jego pięknym, szlachetnym brzmieniu. Mikrofony nam się psują, wszystko nam się psuje. Jest okazja, trzeba korzystać. Pecunia non olet.

MARCYŚ:

Człowieku! Co ta robota w banku z tobą zrobiła? (*pauza*) Czyli wszyscy jesteście za, tylko ja jeden jestem przeciw, tak?

MAKAR:

Ja tak. Ja jestem za.

MARCYŚ:

Ciebie nie pytam, zdrajco.

LIZZY:

Ja też jestem za. Bylibyśmy frajerami, gdybyśmy w to nie weszli.

MARCYŚ:

Uhm. A ty?

JAROMIR:

Ja też jestem za. Biorę poprawkę na twoje uczucia religijne, ale jestem za.

MARCYŚ:

To pocałujcie się w dupę. Odchodzę z kapeli.

Scena 3

MARCYŚ (do publiczności):

Ja wiem, wiem. Idiotyczna sytuacja, no po prostu nic, tylko się i płakać. Ale powiem wam, że takiego spięcia między nami nigdy do tamtej pory nie było. A w ten piękny piątek... Jeb – i po kapeli. I to mojej winy. Z winy człowieka, który całą tę bandę od zawsze trzymał w kupie. Co za dramat. (pauza) Ale ja nie jestem pewien, czy wy... No, czy wy rozumiecie, w czym rzecz. (pauza) Bo jak już namówiłem rodziców na gramofon... (pauza) Ten cały gramofon był w ogóle bez sensu! Trzeba było od razu mówić o magnetofonie. A tak – zostałem z tym adapterem na lata i jak inni sobie nagrywali z radia co popadło, ja miałem dziesięć płyt na krzyż i musiałem co chwila biegać do Jaromira, żeby dał mi czegoś posłuchać. No, ale z drugiej strony lepszy gramofon niż nic. Przynajmniej miałem muzę w stereo. (pauza) No więc jak namówiłem starych na ten gramofon... Kurde, żebyście wiedzieli, ile to zabiegów wymagało! Ojciec musiał dać łapówkę w sklepie w Kłodzku, a potem i tak pół nocy stał w kolejce. No, ale kupił, kupił. Dostałem go na dziewiąte urodziny. I to był prezent – ojciec, w przeciwieństwie do Makara, jak chciał dobrze, to zawsze mu wychodziło. No więc miałem już ten gramofon i jaka była pierwsza płyta w mojej kolekcji? Zdobyta po pięciogodzinnym staniu w kolejce w kłodzkiej księgarni? Oczywiście „Nowy rozdział”. Klasyk, proszę państwa. Moment, w którym odsłuchałem pierwszy numer na tym longplayu, to jest moment... epifanii.

Scena 4

Na podłodze gramofon i rozstawione głośniki. Wpada mały Marcyś – w rękach trzyma płytę Kombi i nerwowo instaluje ją na talerzu gramofonu.

MARCYŚ (do publiczności):

To znowu ja. Widzicie, jak to przeżywałem? Widzicie? Zaraz polecą „Cyfrowa gra”. Utwór instrumentalny. Arcydzieło. A obcowanie z arcydziełem zmienia człowieka. Nieodwołalnie.

Usiądę i posłuchamy sobie razem.

Chłopiec właśnie uruchamia urządzenie. Rozlega się utwór zespołu Kombi.

MARCYŚ *(po dłuższej chwili, do publiczności):*

Dobra, wystarczy. Wystarczy, bo nie każdy jest gotów na konfrontację z absolutem.

(do Marcysia-Juniora)

Ścisz trochę, chłopcze.

Marcyś-Junior patrzy z wyrzutem na Marcysia-Seniora, ale po chwili muzyka cichnie.

MARCYŚ *(do publiczności):*

Ale już łapiecie, nie? Łapiecie? Wy pewnie tak, wy jesteście wyrobieni, macie gust, macie wrażliwość, w końcu chodzicie do teatru. Ale moja żona... Moja żona nigdy nie łapała...

Scena 5

MAGDA *(chichocząc):*

Nie no, nie mogę...

MARCYŚ:

Przestań, kobieto.

MAGDA:

Nie mogę...

MARCYŚ:

Magda, przestań, bo dzieci pobudzisz. Po czyjej ty jesteś stronie, co?

MAGDA:

Po twojej, misiu. Zawsze.

MARCYŚ:

Ale uważasz, że jestem idiotą, nie?

MAGDA:

Oczywiście.

MARCYŚ:

To oni są idiotami. Myślą, że co? Że mamy jeszcze na cokolwiek szansę? A Lizzy to już w ogóle oszalał. Zawsze miał niedoleczone ambicje, ale teraz...

MAGDA:

Nigdy na nic nie jest za późno. A ja wysłałam za muzyka, nie za faceta ze sklepu.

MARCYŚ:

No to co ja mam zrobić?

MAGDA:

Idź do nich, przeproś i powiedz, że się zgadzasz.

MARCYŚ:

Przecież to śmieszne.

MAGDA:

No właśnie.

MARCYŚ:

Ale ja nie chcę, żeby było śmiesznie.

MAGDA:

Już jest.

MARCYŚ:

Kurwa mać, no!

MAGDA:

Ty się boisz, misiu.

MARCYŚ:

Czego niby?

MAGDA:

Boisz się, że znowu wam nie wyjdzie. Boisz się, bo raz wam nie wyszło, i obwiniasz o to siebie, moim zdaniem zupełnie słusznie.

MARCYŚ:

O proszę, pani psycholog jak zwykle w pogotowiu. Nie będę znowu o tym gadał. Nie mogłem jechać wtedy w trasę, musiałem być z tobą. Mężczyzna nie może opuszczać swojej kobiety, kiedy dzieje się jej krzywda.

MAGDA:

O jeju, ale mnie wzruszyłeś. Zaraz się popłaczę. Jednego wieczoru tyle wrażeń, to może mi zaszkodzić...

MARCYŚ:

A co, twoim zdaniem, może nam dać koncert na dożynkach, hę?

MAGDA:

Koncert to szczegół. To jest koszt uzyskania dochodu. Ważne jest stypendium. I za te dwanaście tysięcy zamiast kupować sprzęt, powinniście moim zdaniem wynająć jakieś porządne studio we Wrocławiu. Nagrać coś w porządnym warunkach, tak, żeby chociaż tyle po was zostało. Dobry pomysł?

MARCYŚ:

Hmm... O tym nie pomyślałem... Ale żeby upaść tak nisko? Mam za dwanaście kawałków sprzedać całe moje dzieciństwo? Siebie sprzedać?

MAGDA:

Misiu, Kombi to jest tylko pretekst. Sentyment do Kombi chroni cię, Misiu, przed nieznanym, przed przyszłością, krótko mówiąc... Odstawiasz Rejtana w obronie Sławomira Łosowskiego, ale moja hipoteza jest taka, że...

MARCYŚ:

Boże kochany, gdzie ja miałem oczy, jak cię brałem?

MAGDA:

Idę spać. A ty tu sobie pomyśl. (*cmoka go w policzek*) Popatrz sobie na plakacik, może ci się coś przyśni. Na przykład teledysk do „Słodkiego, miłego życia”.

Scena 6

MARCYŚ (*do publiczności*):

Nie ma to jak wsparcie własnej małżonki. Tak to jest, jak człowiek idzie na imprezę do akademika i zamiast uderzać do jakiejś egzaltowanej polonistki, zaczyna gadać ze studentką psychologii, a potem podrywa ją na gitarę i zabiera na próbę. I zamiast słyszeć, że to (*z przekąsem*) „ach i och, taka ostra muzyka, ja tam wolę jednak Radiohead”, słyszy: „O kurcze, ale dajecie czadu!” W efekcie ma w domu przez całe życie darmową psychoterapię. Zero empatii po prostu. A przecież my, metalowcy, jesteśmy wrażliwi. Mamy swoje uczucia i bardzo łatwo nas zranić. Gramy ostro, ale to nie znaczy, że jesteśmy zrobieni ze stali... (*pauza*) Kombi jako parawan. Czyli boję się przyszłości. Mam przykre doświadczenia, które podcięły mi skrzydła. Jasne. Miałem wtedy zostawić ją samą w szpitalu i jechać do Warszawy. Co tam operacja, dzień jak co dzień. Ale nie, ona się zaparła, namawiała mnie. „Jedź, drugi raz taka okazja wam się nie trafi. Gracie trasę z taaaką kapelą! Ja przeżyję, o mnie nic się nie martw”. Tylko że ja też się zaparłem. I teraz co? Mijają lata, człowiek wraca na stare śmieci, ma dwoje dzieci, psa, własne mieszkanie, jak na absolwenta bibliotekoznawstwa przystało – fantastyczną pracę w sklepie ze sprzętem górskim, ale nie. Ale nie! Żona wie, że coś jest nie tak. Żona wie, że jej misio w środku ma złamane serduszko. (*pauza*) Ciekawe, swoją drogą, czy żony koleś z Morbid Angel też nazywają ich „misiami”. Mam nadzieję, że nie. Ten świat nie może być aż tak okrutny dla artystów. (*pauza*) Ale pomysł z wynajęciem studia nie był taki zły. I ta myśl nie dawała mi spokoju przez całą noc. Bo wiecie, od żony dowiedziałem się kiedyś, że najważniejsze, to skontaktować się z samym sobą. To jest podstawa każdej terapii. Dotarcie do własnego wnętrza, o nic innego nie chodzi.

Scena 7

Marcyś-Junior z zaangażowaniem słucha z gramofonu kolejnych hitów Kombi. Do chłopca podchodzi Marcyś-Senior siada obok. Muzyka stopniowo przechodzi w dalekie tło rozmowy.

MARCYŚ-SENIOR:

Świetne, co?

MARCYŚ-JUNIOR:

Najlepsze na świecie!

MARCYŚ-SENIOR:

Będziesz miał jeszcze inne płyty, zobaczysz...

MARCYŚ-JUNIOR:

Nie potrzebuję. Ta mi wystarczy do końca życia.

MARCYŚ-SENIOR:

Ale są jeszcze inne zespoły...

MARCYŚ-JUNIOR:

Kombi i tak jest najlepsze.

MARCYŚ-SENIOR:

No, tak, ale... Na jednej kapeli świat się nie kończy.

MARCYŚ-JUNIOR:

Jak się jest prawdziwym fanem, to się kończy.

MARCYŚ-SENIOR *(do publiczności):*

Nie jest łatwo, sami widzicie.

(do Marcysia-Juniora)

Wyobraź sobie taką sytuację, że jesteś już dorosły...

MARCYŚ-JUNIOR:

I gram w Kombi.

MARCYŚ-SENIOR:

Nie! Zamknij się i słuchaj. Jesteś już dorosły, masz żonę, dzieci, trochę mieszkałeś we Wrocławiu, ale tak się złożyło, że mieszkasz już teraz znowu w Kochanowie, razem z kolegami...

MARCYŚ-JUNIOR:

Z Lizzym, Makarem i Jaromirem?

MARCYŚ-SENIOR:

Tak...

MARCYŚ-JUNIOR:

To super.

MARCYŚ-SENIOR:

To zależy. W każdym razie grasz w swoim własnym zespole...

MARCYŚ-JUNIOR:

Na elektronicznej perkusji?

MARCYŚ-SENIOR:

Nie!!! Na perkusji gra Jaromir!

MARCYŚ-JUNIOR:

Ale na elektronicznej?

MARCYŚ-SENIOR:

Jakiej elektronicznej? Przestań mi, do cholery, przerywać! (*pauza*) Masz swój własny zespół, kiedyś tam była szansa na karierę, ale nie wyszło, mniejsza o to, dlaczego, ale nie wyszło. Pobujałeś się z chłopakami po Wrocławiu, postudiowałeś sobie, ale potem wróciłeś do

Kochanowa. I grasz sobie co piątek, luźno i niezobowiązująco. I nagle okazuje się, że do Kochanowa przyjeżdża Kombii...

MARCYŚ-JUNIOR (*zrywając się na równe nogi*):

Co??? Kiedy?

MARCYŚ-SENIOR:

Siadaj, nie ma się z czego cieszyć. Kombi przyjeżdża na dożynki, czyli wiocha do kwadratu. A poza tym to nie żadne Kombi tylko Kombii (*akcentuje wyraźnie dwa ostatnie „ii”*). Skawa, Tkaczyk, ale bez Łosowskiego.

MARCYŚ-JUNIOR:

Bez Łosowskiego? To niemożliwe! Dlaczego?

MARCYŚ-SENIOR:

Wyślizgali go. Grają sami, zostawili go i koniec. Nie mogli się dogadać. Poszło o różnice artystyczne, czyli o kasę, tak z grubsza rzecz ujmując.

MARCYŚ-JUNIOR:

Nie wierzę. Grzegorz Skawiński na pewno by się tak nie zachował. Waldemar Tkaczyk też.

MARCYŚ-SENIOR:

Zachowali się, możesz mi wierzyć. Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że teraz ty, z tym swoim zespołem, za, powiedzmy, stosunkowo niemałą kwotę, miałbyś przed tym nowym Kombi wystąpić. I co ty na to?

MARCYŚ-JUNIOR:

Na pewno nie!

MARCYŚ-SENIOR (*do publiczności*):

O, masz. Radykał. Właśnie tego się obawiałem. (*do Marcysia-Juniora*) Weź się, chłopie, chwilę zastanów, co?

MARCYŚ-JUNIOR:

Nie ma się nad czym zastanawiać. Na pewno bym nie wystąpił.

MARCYŚ-SENIOR:

Ale gdyby...

MARCYŚ-JUNIOR:

Nie!

MARCYŚ-SENIOR:

Twardy jesteś, co?

MARCYŚ-JUNIOR:

Pewnie. Trzeba mieć jakieś zasady.

MARCYŚ-SENIOR:

Dobra, to już wiem, na czym stoję.

MARCYŚ-JUNIOR:

Jak się jest PRAWDZIWYM fanem jakiegoś zespołu...

MARCYŚ-SENIOR:

Włącz sobie coś, ok.? „Kochać cię – za późno” na przykład.

MARCYŚ-JUNIOR:

Teraz najbardziej lubię „Karty śmierci”. To będzie przebój.

MARCYŚ-SENIOR:

Nie będzie. Nikt nie zna tego kawałka.

MARCYŚ-JUNIOR (*nagle, zupełnie po „dorostemu”*):

Świetne mi zarysowałeś perspektywy na przyszłość, nie ma co. To ja już wolę nie dorastać.

MARCYŚ-SENIOR (*do publiczności*):

No, to się wiele o sobie dowiedziałem. *(pauza)* Kurde, nie wiem, czy nie byłem zbyt brutalny... Chłopak jest młody, trudno mu sobie pewne rzeczy wyobrazić. *Że na przykład wszystkim rządzi kasa. Że przyjaźń można przehandlować za parę złotych. No i że „Karty śmierci” to jednak nie będzie hit. Naprawdę – wtedy myślałem, że taki kawałek musi zrobić furorę. Ale nie zrobił. No i bądź tu mądry, człowieku. (pauza)* I co? Mam słuchać takiego gówniarza? Bo co? Bo ON by tego nie zrobił? Dziewięćolatek?

Scena 8

MAGDA:

Ty spałeś coś w ogóle?

MARCYŚ:

Nie.

MAGDA:

Myślałeś?

MARCYŚ:

Tak.

MAGDA:

No to się nachodziłeś przy okazji. I co wymyśliłeś?

MARCYŚ:

Że wchodzę w to. Dwanaście kawałków to jest niezła kasa, a my faktycznie nie mamy żadnego porządnego materiału. Za te pieniądze da się wynająć w miarę porządne studio. Wypalimy sobie parę płytek na pamiątkę i po zawodach. Idealne zakończenie kariery. Finito. Happy end po prostu.

MAGDA:

Świetnie. Ale wiesz, że taka decyzja może być brzemienna w skutki? Nie pękasz, misiu?

MARCYŚ:

Nie. Nie będę się sugerował tym, co mówi gnojek, który ledwo sięga mi do pasa.

MAGDA:

Jaki gnojek?

MARCYŚ:

Mniejsza o to. Zrobiłem sobie autoanalizę i wyszło mi, że możesz mieć częściowo rację.
Ewentualnie. Hipotetycznie.

MAGDA:

Ty jesteś łatwy do rozszyfrowania, misiu.

MARCYŚ:

Łatwy? Ja jestem niebywale skomplikowany. Jestem artystą.

MAGDA:

Dobra, panie śmierć-metalowy artysto, dzwoń do chłopaków. I pozdrów ode mnie Makara.

MARCYŚ (*do publiczności, wyciągając jednocześnie telefon komórkowy i wybierając kolejne numery*):

No więc podzwoniłem po chłopakach...

(pauza)

Tak, Lizzy, wiem, wiem, sorry.

(pauza)

W sumie nie było problemu...

(pauza)

Jaromir, znasz mnie, wiesz, że czasem mnie ponosi... Ok, ok., wpadnę, to pogadamy...

(pauza)

Wszyscy dali się przeprosić...

(pauza)

A Makar nie miał nawet żalu, taki jest ten nasz kolega.

(pauza)

I czego się cieszysz, durniu, co? Tak, Magda też cię pozdrawia.

(pauza)

No po prostu nic, tylko zaczynać próby i przygotowywać relaksacyjny repertuar na dożynki.

Aha – i jeszcze to stypendium. W końcu szmaciliśmy się dla kasy. No ale jak już wypełniliśmy wszystkie druczki – **a faktycznie nie mieliśmy konkurencji, ludzie ciągle nie mają pojęcia, ile kasy z unii jest do wyjęcia** – i w terminie wysłaliśmy je, gdzie trzeba, okazało się, że na pieniądze trzeba będzie poczekać. Obwieścił nam to sam pan wójt. Normalnie ludzkie panisko, osobiście przyjechał do nas na próbę. Z gospodarską wizytą.

(do Magdy)

No, kończ już wreszcie, ja też muszę jechać do pracy! Dziećmi się zajmij, zrób im śniadanie.

Do kuchni, kobieto! Do kuchni!

(do publiczności)

O, tak właśnie zachowują się prawdziwi metalowcy.

Scena 9

Zespół w komplecie. Razem z muzykami – Wójt.

LIZZY:

Do września?

WÓJT:

Do września.

LIZZY:

Oj, a myśmy myśleli...

WÓJT:

Stypendium przyznaje się w maju, ale wypłaca we wrześniu. Taka jest procedura.

MARCYŚ:

Trudno, poczekamy.

WÓJT:

Pieniądze będą na pewno, proszę się nie martwić. Ja tutaj jestem gwarantem. Gmina mocno inwestuje w młode talenty, bo sami panowie wiecie, jak wygląda sytuacja. Młodzi ludzie

wciąż wyjeżdżają za granicę. To cud właściwie, że panowie mieszkają i pracują tutaj, a nie na przykład w Irlandii

MAKAR:

Od przedszkola trzymamy się razem!

WÓJT:

Tak, już mi pan wcześniej o tym opowiadał. To cieszy, że jesteście tutaj i na niwie kultury działacie razem, to niezwykle cenne. Spróbujemy was trochę podpromować. Bo wiecie, panowie, w gminie nie ma w tej chwili żadnego zespołu młodzieżowego...

MARCYŚ:

Ale my niestety gramy death metal...

WÓJT:

Nic nie szkodzi. A co to jest ten death metal?

MARCYŚ:

Wie pan kto to jest Nergal?

WÓJT:

Zaraz, zaraz... Tak! To ten chłopak tej całej... Dody?

MARCYŚ:

No właśnie. I my gramy mniej więcej to samo co on. Co jego zespół...

WÓJT:

Bardzo dobrze. Moja żona twierdzi, że to wyjątkowo kulturalny młody człowiek. Podobno był kiedyś w programie u Kwaśniewskiej i zachowywał się niezwykle poprawnie.

JAROMIR:

Wygląda na to, że fan-club Behemotha ciągle się rozrasta...

WÓJT:

Podobno ten zespół Nergala jest bardzo popularny na całym świecie. I to jest dobry kierunek. Trzeba się wzorować na najlepszych, panowie. O naszej gminie też powinno być głośno. No, to gratuluje jeszcze raz i wracam do obowiązków. Będziemy w kontakcie. Na pewno mi się jeszcze przydadcie, chłopcy.

Wójt wychodzi.

MAKAR:

Widzicie? Dzięki mnie mamy władzę po swojej tronie.

JAROMIR:

Zaraz, a co to niby znaczy, że możemy mu się jeszcze przydać?

MARCYŚ (do publiczności):

Otóż to. To było podstawowe pytanie.

MAKAR:

Nie wiem, pewnie w tej promocji gminy jakoś.

JAROMIR:

Aha. Bo gdyby robili na przykład składankę piosenek promujących wycieczki w Sudety, to „In The Mountains Of Madness”, moglibyśmy dać im za darmo. Gitarą i piórem o górach.

LIZZY:

Bo w górach jest wszystko, co kocham...

MARCYŚ (do publiczności):

„In The Mountains Of Madness” to jeden z naszych najlepszych kawałków. Muzycznie – walec w stylu Bolt Thrower, tekstowo – opowieść o seryjnym mordercy, jak większość tekstów Jaromira. No i tak sobie żartowaliśmy, śmialiśmy się jak durnie, ale jakoś nikt z nas nie zwrócił wtedy uwagi, że brzmiało to wszystko dosyć niepokojąco. Mamy się do czegoś przydać wójtowi? Do czego? Ale przecież na pewno chce dobrze, prawda? Dobrze dla gminy.

A więc i dobrze dla nas. *(do Makara)* Prawda?

MAKAR:

Prawda.

MARCYŚ *(do publiczności):*

Potem doszedłem do wniosku, że wójt chce sobie odpowiednio wcześniej zacząć kampanię i że dwie kadencje to dla niego zdecydowanie za mało, ale co nas to mogło obchodzić. My gramy death metal. Na dożynkach zagramy co prawda spokojnie, ale to wyjątek i chwilowy kompromis, bo nie będzie mi żaden dziewięćolatek...

Scena 10

Marcyś znów szuka jakichś płyt i manipuluje przy odtwarzaczu CD.

MARCYŚ *(do publiczności):*

... mówił, co mam robić. Kto by się tam zresztą martwił na zapas. Trzeba się było skupić na naszym dożynkowym repertuarze i tyle. Coś spokojnego, powiadacie? *(Marcyś włącza „Wspomnienia z pleneru” zespołu Kombi)* No, to jest świetne, ale tak nie mogliśmy zagrać, nie było szans. Nie mieliśmy klawiszy. *(pauza)* Co tu dużo gadać, postanowiliśmy skomponować coś w stylu rocka środka. Jak ten Myslovitz na przykład. Albo, nie wiem, jakieś Wilki choćby. Dla zawodowców to żaden problem. W każdym razie na pewno nie dla Lizzy’ego. *(pauza)* Tylko, że jakoś, cholera, nic nam nie wychodziło. Ale urząd gminy, zgodnie z obietnicą, wkrótce przedstawił nam nowe możliwości rozwoju.

Scena 11

Zespół w komplecie. Muzycy przez dłuższą chwilę próbują grać jakąś rzewną balladę, ale nie wychodzi im – wreszcie Jaromir rzuca wściekle pałeczkami. Zespół rozjeżdża się, muzyka milknie.

JAROMIR:

Ja już dłużej nie dam rady.

LIZZY:

Skup się, stary, już prawie mamy cały kawałek.

JAROMIR:

Ja do tego tekstu pisać nie będę.

MARCYŚ:

Panowie, bądźmy konsekwentni. Damy radę. Jak już w to wleźliśmy, to do końca.

JAROMIR:

Ja tego nie czuję, Lizzy. Marnujemy czas i tyle.

LIZZY:

Gramy, panowie! Mamy trzy miesiące, w tym tempie nic nam się do września nie uda wymyślić. A przynajmniej z sześć kawałków mieć musimy. Założmy, że jeden zagramy na bis, to...

JAROMIR:

Jaki bis, człowieku? Gramy i spierdalamy.

MAKAR:

No to weźmy na warsztat jakieś klasyki i po robocie.

LIZZY:

Ale tak nie zrobimy wrażenia na Skawińskim.

MARCYŚ:

Lizzy, przestań, proszę cię. On na nas nawet nie spojrzy.

LIZZY:

A jak spojrzy i zobaczy, i usłyszy, że gramy nie swoje numery, to co?

MARCYŚ

To nic. Jeśli zagramy je dobrze, to może mu się spodobać.

LIZZY:

Myślisz?

JAROMIR:

Ty mu się na pewno spodobaś, Lizzy. Twoja desperacja jest niesamowicie pociągająca.

MARCYŚ:

Dobra, dajmy sobie spokój z tym badziewiem. Zagrajmy na przykład...

LIZZY:

„Nothing Else Matters”!

MARCYŚ (*krzywiąc się z niesmakiem*):

Dobra.

Muzycy rozpoczynają utwór. Po pierwszych, trochę niepewnie zagranych taktach, idzie im całkiem nieźle. Nagle na scenie pojawia się Wójt.

WÓJT:

Bardzo ładnie, panowie, bardzo ładnie. Ale ja w zupełnie innej sprawie.

MAKAR:

Dzień dobry, panie wójcie!

WÓJT:

W Wałbrzychu za dwa tygodnie będzie przegląd zespołów rockowych. I ja bym chciał, panowie, żebyście tam zagrali jako reprezentanci gminy.

MARCYŚ:

My?

WÓJT:

Tak. Wy.

MARCYŚ:

Jako reprezentanci gminy?

WÓJT:

Tak. Jako stypendyści i przyszłość naszego regionu. Podzwoniłem, gdzie trzeba, załatwiłem wszystko – i jesteście na liście. No, to co wy na to?

LIZZY:

W zasadzie moglibyśmy potraktować taki przegląd jak próbę generalną przed dożynkami...

JAROMIR:

Przepraszam, ale czy my tam mamy coś wygrać?

WÓJT:

Nie. Macie godnie zaprezentować gminę. To wszystko.

JAROMIR:

No to ja wiem? Czemu nie?

MAKAR:

Jedźmy, co nam szkodzi!

WÓJT:

Świetnie. Właśnie o taką współpracę z wami mi chodziło.

Scena 12

MARCYŚ *(do publiczności):*

Mistrzowie asertywności, jak Boga kocham... Ale co, Metallikę fajnie zagraliśmy, nie? Nieźle było, co? No to teraz będzie niestety już dużo gorzej. *(pauza)* Pojechaliśmy na ten przegląd. Skład miał być w miarę przyzwoity, jakiś rock, jakiś hard-core, takie rzeczy. Ryzyko kompromitacji niewielkie. A możliwość zagrania dla żywej publiczności – bezcenna. Poza tym, jak się powiedziało „a”, to trzeba powiedzieć „b”... I tak dalej. *(pauza)* Mieliśmy zagrać tuż przed gwiazdą imprezy. Jakims lokalnym zespołem punkowym, na który przyszło najwięcej ludzi. **Potem miał być werdykt i ponowny występ laureatów.**

Na nic nie liczyliśmy, okazało się, że jako deathmetalowcy jesteśmy w absolutnej mniejszości... Pech chciał, że gdy instalowaliśmy się na scenie, Jaromir zaplątał się w jakiś kabel i poleciał głową w werbel, a nogami w talerze. Huk, krzyk i śmiech na sali. *(pauza)* Wiecie, małe punkowcy darli łacha z nas, starych metali... No i Jaromir się wściekł. Na szczęście nikomu nie dał po ryju, ale wściekł się, a my solidarnie wściekliśmy się razem z nim. I postanowiliśmy przywalić tak, żeby im wszystkim łby pourywało. Najgorsze jest jednak to, że akustykiem był tam jakiś dzieciak. I dał pełną parę na mikserze, bo Jaromir powiedział, że jak nie podkręci wszystkiego na maksa, to po koncercie przyczepi go do zderzaka samochodu i zaciągnie przynajmniej do Nowej Rudy... *(pauza)* Żenujące to jest, ja wiem. Ale zadziałało. No więc żeby nie przedłużać – stajemy na scenie, akustyk odpala intro, my, kurde, upozowani jak Vader na Woodstocku, głośniki normalnie trzeszczą w obudowach i jeb! Zaczynamy pierwszy kawałek. I po sekundzie kończymy. *(pauza)* Musieliśmy się ewakuować. Cały ichni sprzęt poszedł z dymem i zaczęły się małe zamieszki. To cud, że nas tam nie zabili. Przez godzinę siedzieliśmy zamknięci na zapleczu, dopiero potem, jak już wszyscy poszli, zwinęliśmy sprzęt i wymknęliśmy się z placówki tylnymi drzwiami. Po prostu masakra, żenada i wstyd. Ale jeśli myślicie, że to koniec naszych przygód, to się mylicie, niestety. *(pauza)* Że wójt bardzo rozczarował się naszym występem, dowiedzieliśmy się trochę później. Bo najpierw przyjechała do nas babka z gazety. Z „Tygodnika Kłodzkiego”. Dowiedziała się o naszym stypendium i przyjechała sprawdzić, komu gmina zamierza dać taką fortunę. Prasa musi patrzeć władzy na ręce. Od tego jest.

Scena 13

DZIENNIKARKA

Od tego jestem, panowie. Jak wójt hojną ręką rozdaje pieniądze, muszę wiedzieć, do kogo one trafiają. W sumie nie chodzi nawet o mnie. Chodzi o ludzi. Ludzie muszą wiedzieć.

JAROMIR:

Jasna sprawa. Demokracja.

DZIENNIKARKA:

No to może opowiecie mi coś o sobie?

MARCYŚ:

Hmm... No więc nazywamy się Exterminator...

DZIENNIKARKA (z uśmiechem):

Skąd taka nazwa?

MARCYŚ:

Miała groźnie brzmieć... a poza tym „Terminator 2” to był kiedyś mój ulubiony film...

JAROMIR:

Ja chciałem, żebyśmy się nazwali Ścierwo.

MARCYŚ:

Przestań, Jaro.

DZIENNIKARKA:

Jak?

JAROMIR:

Ścierwo. Albo Ropień.

DZIENNIKARKA:

Ale dlaczego?

JAROMIR:

To się wpisuje w poetykę gatunku.

DZIENNIKARKA:

Jakiego gatunku?

JAROMIR:

W poetykę i estetykę death metalu.

DZIENNIKARKA:

Czyli?

JAROMIR:

Czyli pani nie wie, co gramy...

DZIENNIKARKA (*rozglądając się po scenie*):

No właśnie próbuję się dowiedzieć... Cóż, nie jestem na bieżąco z tym, co teraz interesuje młodzież... (*wskazując pentagram*) O, a ten symbol, o tam, to co właściwie znaczy?

JAROMIR:

On też się wpisuje w poetykę gatunku.

DZIENNIKARKA:

Tego... death metalu, tak?

JAROMIR:

Tak jest.

DZIENNIKARKA:

No więc co to jest ten... death metal?

MAKAR:

Ja powiem! No więc historię ciężkich odmian muzyki można datować już nawet na lata sześćdziesiąte, jednak za protoplastów gatunku powszechnie uważa się zespół Black Sabbath... Zna pani Black Sabbath?

DZIENNIKARKA:

Nie...

MAKAR:

Nie szkodzi...

JAROMIR:

Kurde, znowu się nakurzył...

MAKAR:

... no i zespół Black Sabbath na swojej debiutanckiej płycie, pod tytułem „Black Sabbath” zresztą, w zasadzie zdefiniował gatunek. A potem przyszli następni artyści... No bo tak – jest heavy metal, jest thrash metal, jest black metal, jest death metal, jest...

MARCYŚ:

To jest nieważne, kolega chce powiedzieć, że muzyką, którą gramy, ma długą historię.

DZIENNIKARKA:

No tak, tak... Ale jaka ona jest, czym się różni od tego, co można usłyszeć w radiu?

JAROMIR:

Przede wszystkim gramy bardzo ciężko...

DZIENNIKARKA:

Czyli bardzo powoli?

JAROMIR:

No właśnie wręcz przeciwnie. Powoli grają doom metalowcy...

DZIENNIKARKA:

Kto?

MARCYŚ:

Czasem gramy wolno, ale najczęściej jednak szybko. I głośno.

LIZZY:

Krótko mówiąc, blasty plus riffy i growling.

DZIENNIKARKA:

O Boże, a co to takiego?

JAROMIR:

Lizzy, ty jeden umiesz czytać nuty, więc wytłumacz pani spokojnie, o co chodzi, bo daleko w ten sposób nie zajdziemy.

LIZZY:

A jakiej muzyki słucha pani prywatnie?

DZIENNIKARKA:

No cóż, uwielbiam Kabaret Starszych Panów...

LIZZY:

O, matko. No to łatwo nie będzie.

MARCYŚ (*do publiczności, podczas kiedy Lizzy nachyla się nad Dziennikarką i mocno gestykuluje, próbuje jej wyjaśnić, co to takiego ten death metal*):
Próbowaliśmy jej to wytłumaczyć, ale rzeczywiście, łatwo nie było...

DZIENNIKARKA (*po chwili*):

Czyli jesteście satanistami?

MARCYŚ:

Oczywiście, że nie. To tylko taka konwencja.

LIZZY:

Ja wiem, że to może wyglądać dość niepokojąco, ale proszę mi wierzyć...

DZIENNIKARKA:

Już wiem. Wy jesteście jak ten cały Nergal, który teraz chodzi z tą, no, Dodą.

JAROMIR:

Nergal!

LIZZY:

Poniekąd tak.

DZIENNIKARKA:

Mój Boże! Przecież to satanista.

Muzycy wybuchają chóralnym śmiechem.

MARCYŚ (*do publiczności*):

To był cały nasz komentarz na temat życiowej postawy Nergala i jego wiarygodności w środowisku. Wtedy jeszcze mogliśmy być pryncypialni. Ale to się szybko zmieniło.

DZIENNIKARKA:

(znowu coś zapisuje)

Powiedzcie mi więc, jak powstał wasz zespół.

MARCYŚ:

To zależy który.

DZIENNIKARKA:

To było ich więcej?

JAROMIR:

Były trzy.

MAKAR:

Najpierw mieliśmy zespół Hipodrom, inspirowany twórczością Kapitana Nemo...

JAROMIR:

I Papa Dance... Niestety, jako dzieci mieliśmy fatalny gust i to znacząco wpłynęło na nasz dalszy rozwój artystyczny.

LIZZY:

Lombard nam się podobał. I Klincz.

MARCYŚ:

I Kombi oczywiście...

MAKAR:

...a potem, kiedy trochę podrośliśmy, bo to była trzecia klasa podstawówki, wtedy nie mieliśmy nawet instrumentów, tak tylko udawaliśmy, że gramy... Wie pani, kartony zamiast perkusji, kij od szczotki zamiast mikrofonu... No więc jak podrośliśmy i poszliśmy do ósmej klasy, a rodzice nam kupili gitary, a Jarek dostał perkusję, to zaczęliśmy grać jak Chłopcy z Placu Broni.

DZIENNIKARKA

Ach tak...

MAKAR:

Nazwaliśmy się wtedy...

MARCYŚ:

Makar, proszę cię, człowieku...

MAKAR:

...Korpus Krwawych Krawców.

DZIENNIKARKA:

O Boże!

MARCYŚ:

Ale to nic takiego. To była dowcipna nazwa!

LIZZY:

Taka w stylu Formacji Nieżywych Schabuff. Albo Sztynnego Pala Azji.

DZIENNIKARKA:

I potem powstał Exterminator, tak?

MARCYŚ:

Tak. Inspirowaliśmy się wtedy....

JAROMIR (*wskazując na Marcysia*):

Jego najbardziej inspirował Grzegorz Skawiński.

LIZZY:

A mnie inni gitarzyści. Joe Satriani, Steve Vai, Eddie Van Halen... Choć oczywiście Grzegorz Skawiński również jest niezły...

MARCYŚ:

Milcz, kanalio,

JAROMIR:

Co tu kryć, słuchaliśmy wtedy Bon Jovi, Def Leppard i Scorpionsów.

MAKAR:

A ja z kolei wszedłem trochę w progres i art-rocka. Wie pani, Yes, Emerson, Genesis, te klimaty. Ale się w końcu jakoś dogadaliśmy, bo niedługo potem wspólnie odkryliśmy death metal. Pierwsze rzeczy Obituary, Morbid Angel, Deicide, Unleashed, Dismember, Carcass, Bolt Thrower, Vader, Grave... Tego nam było trzeba. Jak mówił poeta, zawarliśmy porozumienie ponad podziałami.

DZIENNIKARKA (*notując*):

Taaak... Już mam, już mam. (*po sekundzie*) I jak potoczyły się dalsze losy Exterminatora?

LIZZY:

Pod koniec ogólniaka zaczęliśmy dawać pierwsze koncerty, a potem poszliśmy na studia. Na bibliotekoznawstwo. A Makar dla odmiany na kulturoznawstwo.

MAKAR:

Świetne studia, naprawdę. Bardzo rozwojowe.

LIZZY:

No i we Wrocławiu zaczęliśmy grać po klubach, nagraliśmy dwie demówki...

DZIENNIKARKA:

Co nagraliście?

MARCYŚ:

Demówki. Kasety z naszymi utworami, które potem rozsyłaliśmy do pism muzycznych i do wytwórni.

MAKAR:

Jedną się spodobała i dostaliśmy propozycję wyjazdu w trasę z Aggressorem.

DZIENNIKARKA:

Z kim? Z czym?

MAKAR:

Taki zespół. Aggressor. Właśnie byli na fali, spodobał się im...

JAROMIR:

Ale nie pojechaliśmy, bo...

MARCYŚ:

Nie pojechaliśmy, bo nie mogliśmy. Moja dziewczyna miała poważną operację.

MAKAR:

No i się wszystko spierdoliło. To znaczy, przepraszam, skończyło się wszystko. Trasa Aggressora okazała się sukcesem, a nam podcięło to skrzydła i zniechęciło do branży. Kapela prawie się rozpadła.

LIZZY:

Mogliśmy w sumie jechać z nimi w tę trasę, ale...

MARCYŚ:

To trzeba było jechać. Ja jechać nie mogłem.

Zalega cisza.

DZIENNIKARKA:

I co potem?

MARCYŚ:

Potem nic się już nie wydarzyło. Zespół poszedł w odstawkę, a ze dwa, trzy lata później wszyscy znaleźliśmy się z powrotem w Kochanowie.

DZIENNIKARKA:

Jednocześnie?

MAKAR:

Nie, najpierw przyjechał Marcyś, bo się ożenił i dostał pracę w sklepie górskim w Kłodzku, potem Jaromir, bo załapał się do biblioteki miejskiej... Potem z kolei wrócił Lizzy, bo jego bank otworzył placówkę w Kłodzku, a chłopina bardzo za nami tęsknił – a potem wróciłem ja, bo jestem lokalnym patriotą.

DZIENNIKARKA:

To niezwykle ciekawe, niezwykle ciekawe... A nie chcieliście nigdy stąd wyjechać?

JAROMIR:

Myśli pani, że jesteśmy tutaj, bo nie mamy wyboru?

DZIENNIKARKA:

Nie, nie, skąd, przepraszam...

Uhm... No tak, tak... To ja będę się już zbierać. Dziękuję raz jeszcze. Było bardzo miło.

Dziennikarka żegna się i pośpieszenie wychodzi.

LIZZY:

I co myślicie?

MARCYŚ:

Mam złe przeczucia.

JAROMIR:

Ja też.

MAKAR:

Kabaret Starszych Panów? O matko kochana. (*mocno i złośliwie akcentując wszystkie zdrobnienia*) „Piosenka to jest klinek na splinek, na brzydki bliźniego uczynek...”

Scena 14

MARCYŚ (*do publiczności*):

Miałem złe przeczucia i te przeczucia oczywiście mnie nie myliły. (*pauza*)

Najpierw z gminy doniesiono nam, że wójt jest wściekły za ten nasz występ w Wałbrzychu.

Że niby musi teraz świecić oczami, no i że tak być nie może – gmina daje pieniądze na zespół, a zespół wykazuje się beztroską i brakiem dojrzałości. Oraz – co najważniejsze – skrajną niewdzięcznością wobec mecenasa. W ramach odkupienia win – jak wymyślił wójt – mieliśmy odbyć serię spotkań z młodzieżą szkolną, i zaprezentować się w nich od jak najlepszej strony, **jednocześnie sławiąc możliwości samorealizacji w gminie i dając swoją nagle rozpędzoną karierą wymowny przykład gówniarzom, że żeby do czegoś dojść, wcale nie trzeba wyjeżdżać do Irlandii.** Mieliśmy też wspomnieć coś przy okazji o narkotykach. Że są złe, rzecz jasna. (*pauza*) To było żenujące. Ale zgodziliśmy się, bo – co tu dużo gadać – czuliśmy się winni za ten Wałbrzych. **Wzięliśmy bezpłatne urlopy w pracy i przez cały tydzień jeździliśmy po szkołach. Nie było wyjścia. Trzeba było swoje odpokutować. Jak się powiedziało „a”, to trzeba powiedzieć „b”.** Cel był zresztą jak najbardziej słuszny. Ale na wszelki wypadek Makara ze sobą nie wzięliśmy. (*pauza*) Ledwo doszliśmy do siebie, po weekendzie wyszedł nowy numer „Tygodnika Kłodzkiego”. A w nim – artykuł o nas.

(*wyciąga z tylnej kieszeni spodni pomietą stronę z gazety*)

Okazało się, że tak: **jesteśmy satanistycznym zespołem deth metalowym – tak pani napisała (fonetycznie): d-e-t-h metalowym – każdy z nas jest po trzydziestce, więc nie jesteśmy żadną młodzieżą, a skoro nie zrobiliśmy kariery do tej pory, to na pewno nie jesteśmy też uzdolnieni, i w związku z tym żadne pieniądze nam się nie należą, a poza tym to skandal, że przyznaje się w gminie stypendia z łapanki, tak jakby nie można było urządzić jakiegoś konkursu, wcześniej informując, że w ogóle jakaś kasa jest do wyjęcia.** Tekst kończył się następująco (*czyta*): Wójt, jeśli rzeczywiście myśli o pozostaniu na stanowisku na następną kadencję, powinien poważnie przemyśleć kulturalną strategię gminy. To oczywiste, że mamy

ważne wydatki, zwłaszcza te dotyczące rozwoju sieci komunikacyjnej i wodociągowej, nie wspominając już o niedokończonych inwestycjach przeciwpowodziowych, ale kultury również nie można zaniedbać. Wydaje się, że na tym polu wiele jeszcze zostało do zrobienia.”

*(wkłada gazetę z powrotem do kieszeni)*Najpierw zabrano nam klucze od sali.

Na scenie pojawia się Wójt. Marcyś wyjmuje z kieszeni pęk kluczy i wręcza go Wójtowi, który znika za kulisami.

MARCYŚ:

A potem pokłóciłem się z Magdą.

Scena 15

MAGDA:

Czyli mam męża satanistę. Dobrze wiedzieć. W sumie zawsze podejrzewałam, że coś jest z tobą nie tak, tylko, że jako psycholog nie miałam dystansu do obiektu badań, więc wyniki były niemiarodajne... Ale teraz już wiem, że...

MARCYŚ:

Mówiłem, że to nie ma sensu? Mówiłem? Zrobiliśmy z siebie kretynów w Wałbrzychu, potem debili lokalnie, przez to tourne po szkołach, a teraz ten artykuł. I w efekcie nie mamy gdzie grać. Zadowolona?

MAGDA:

Dramatyzujesz. Na pewno wszystko skończy się dobrze.

MARCYŚ:

Tak, już to widzę. Już to widzę.

MAGDA:

Ale coś się zaczęło dziać, nie?

MARCYŚ:

Zaczął się, faktycznie. Mogłem cię nie słuchać. Byłoby tak jak przez ostatnie parę lat, i miałbym święty spokój.

MAGDA:

Czyli znów panikujesz.

MARCYŚ:

Nie gadam z tobą.

MAGDA:

Panikujesz.

MARCYŚ:

Mogłem cię zostawić samą w tym szpitalu.

MAGDA:

Mogłeś. O nic innego mi nie chodziło.

MARCYŚ:

Nie gadam z tobą.

Scena 16

MARCYŚ *(do publiczności):*

Sorry, wiem, jak to jest być świadkiem czyjejs kłótni małżeńskiej. Człowiek nie wie, jak się zachować. Ale dobra, lecimy dalej. Bo teraz idzie najlepsze. *(pauza)* Otóż wójt wezwał nas do siebie. Nie poprosił, nie spytał, czy ewentualnie, w wolnej chwili, nie. Po prostu wezwał nas przez sekretarkę. Mamy się stawić i koniec. Dzień, godzina, i tyle. *(pauza)* Oj, troszkę nas to mimo wszystko zdenerwowało. Nie bardzo, ale troszkę tak. Ale nie zwaliliśmy się do niego całym zespołem. Z wójtem musiał rozmawiać ktoś poważny. I twardy. Krótko mówiąc – ja.

Scena 17

WÓJT:

Niech pan siada.

MARCYŚ:

Dziękuję.

WÓJT:

Gdzie reszta?

MARCYŚ:

Uznali, że ja jestem szefem. Mam pełnomocnictwa.

WÓJT:

Dobrze. Napije się pan czegoś?

MARCYŚ:

Nie, dziękuję.

WÓJT:

Staropolanki może?

MARCYŚ:

Nie, nie trzeba.

WÓJT:

Panie Marcinie... co ja mam z wami zrobić, co? Drugi raz mam przez was kłopoty.

MARCYŚ:

No tak. Mogliśmy nie rozmawiać z tą kobietą z „Tygodnika”. Wie pan, ona nic nie zrozumiała...

WÓJT:

Być może. Ale ten tekst mocno mi zaszkodził. Nawet pan sobie nie zdaje sprawy, jak bardzo. Wie pan, być członkiem PSL-u to nie jest łatwy kawałek chleba. Trzeba mieć oczy dookoła głowy. Zwłaszcza teraz, przed wyborami.

MARCYŚ:

No cóż...

WÓJT:

Ale najpierw narozrabialiście w Wałbrzychu... Ja panu nawet nie będę opowiadał, jak mi wstyd było za was...

MARCYŚ:

Ależ to nie do końca była nasza wina...

WÓJT:

Nie do końca? Gdyby nie wy, do żadnych burd by nie doszło. I sprzęt by się nie spalił. Wie pan, jakie to są koszty? Cud, że nie my musieliśmy je pokrywać! (*pauza*) Ale ja mam pomysł. Propozycję dla was. Biorąc pod uwagę całą sytuację, propozycję właściwie nie do odrzucenia.

MARCYŚ:

Ukhym... Jaka propozycję?

WÓJT:

Dostajecie z powrotem klucze... ale w zamian za udział w wakacyjnych festynach.

MARCYŚ:

W czym?

WÓJT:

W festynach. Od lipca zaczynamy. Osiem festynów w ciągu wakacji. Pokazy strażackie, loterie, konkursy, kiełbaski, wieczorami ognisko i dyskoteka. I wy zagracie ludziom do tańca.

MARCYŚ:

My?

WÓJT:

Wy.

MARCYŚ:

Do tańca?

WÓJT:

A czemu nie?

MARCYŚ:

Bo my gramy death metal.

WÓJT:

No tak, to już wiem. Ale niech mi pan w końcu wytłumaczy, co to w zasadzie jest ten wasz death metal, co?

MARCYŚ:

To trudno tak jednym słowem... W każdym razie gramy głośno i dość szybko...

WÓJT:

Czyli w sam raz do tańca.

MARCYŚ:

Ale...

WÓJT:

Zdaje się, że to ja osobiście załatwiłem wam występ na dożynkach...

MARCYŚ:

No tak.

WÓJT:

A więc co to za różnica – festyn czy dożynki?

MARCYŚ:

Na dożynkach zagramy klasykę rocka. A na festynach trzeba będzie grać coś zupełnie innego.

WÓJT:

No to się jakoś dostosujecie. Za tydzień pierwszy festyn. W Wojkowie. Aha – przed każdym występem bardzo proszę, żebyście się zdystansowali od treści artykułu w gazecie i podkreślili, że jesteście zwykłymi chłopakami z Kochanowa. I że dzięki gminie Kłodzko macie szansę na realizację swoich marzeń. Co chcecie zrobić z pieniędzmi?

MARCYŚ:

Wynajmiemy studio. Nagramy coś i...

WÓJT:

I świetnie. Wasza sprawa, w to się mieszać nie będę. Ale najpierw musicie naprawić to, co zepsuliście. Kiedy gmina daje pieniądze, oczekuje za to wdzięczności.

MARCYŚ:

Czyli jesteśmy pod ścianą.

WÓJT:

Nie mógł pan tego lepiej ująć.

MARCYŚ:

A co będzie, jeśli się nie zgodzimy?

WÓJT:

Co będzie?

MARCYŚ:

Tak. Chcę wiedzieć, jaką mamy alternatywę.

WÓJT:

Alternatywa jest taka: do domu kultury nie macie wstępu dopóki będę wójtem, a mam być z zamiar bardzo długo, a stypendium się unieważnia pod byle pretekstem. Jakiś paragraf zawsze się znajdzie.

MARCYŚ:

Żartuje pan.

WÓJT:

Nie. Nic a nic. Chce pan sprawdzić?

MARCYŚ:

No to zajebiście.

Scena 18

MARCYŚ (*do publiczności*):

Byłem twardy, nie? Jak prawdziwy death metalowiec. Ale cóż było robić? Na początku trochę się poszarпалиśmy, Jaromir chciał machnąć na wszystko ręką, na studio się złożyć i próby robić u niego w garażu, ale stwierdziliśmy, że w pewnym wieku trzeba być konsekwentnym. Powiedzieliśmy „a”, powiedzieliśmy „b”, teraz przyszła pora na resztę alfabetu. Zbędnej kasy nikt z nas nie miał, kredytu u Lizzy’ego brać nie chcieliśmy, a w naszym domu kultury graliśmy przecież od końca podstawówki, a te piątkowe spotkania to była dla nas jedyna odskocznia od normalnego życia. Zgodziliśmy się. No i w ten sposób wreszcie dowiedzieliśmy się, co to znaczy prawdziwy kompromis... (*pauza*) Moja żona nie wykazywała współczucia. Madziu, zabeczko, co wtedy powiedziałaś?

GŁOS MAGDY:

Koszt uzyskania dochodu, misiu!

MARCYŚ:

No właśnie. A pan, panie wójcie?

GŁOS WÓJTA:

To mi się podoba, panowie. Wiedziałem, że mi się jeszcze przydadcie.

MARCYŚ (*do publiczności*):

I tak – po tygodniu banicji – znów byliśmy na starych śmieciach. I zaczęliśmy kombinować, co zagrać na festynach. Na dożynki mieliśmy już zgrab repertuaru – tę Metallikę, coś

Zeppelinów, jakiś cover Rolling Stonesów, nawet „Purple Haze” Hendrixa. Lizzy się uparł, że popisie się specjalnie dla Skawy. No, ale na festyn takie numery zupełnie się nie nadają. Do tego się nie da tańczyć. Trzeba było więc pójść w zupełnie innym kierunku... No i wtedy...

Nie, ja już nie mam siły tyle gadać. Chłopaki! Jaro! Chodźcie tutaj!

Na środek sceny wchodzi Jaromir, a wraz z nim reszta zespołu.

MARCYŚ:

Chodźcie, pomożecie mi. Ja już wysiadam.

JAROMIR:

O, lider ustępuje miejsca wyrobnikom.

MARCYŚ:

Makar, opowiadaj ludziom, jak było.

MAKAR:

O naszym tourne po festynach? Bardzo chętnie. No więc na początku był Wojków...

JAROMIR:

O Jezus Maria.

MAKAR:

Marcyś przygotował specjalne oświadczenie i od tego zaczynaliśmy każdy koncert. Jak to brzmiało?

MARCYŚ:

Jako uprawniony przedstawiciel zespołu Exterminator chciałbym z całą mocą podkreślić, że wbrew opiniom niezyczliwych nam osób nie jesteśmy satanistami. I że serdecznie dziękujemy wójtowi i władzom gminy za wsparcie. Mam nadzieję, że dzisiejszego wieczoru wszyscy będziemy się dobrze bawić.

JAROMIR:

Ma chłopak ten luz. Zupełnie jak Bałtroczyk.

MAKAR:

No i wracając do Wojkowa... Gramy pierwszy kawałek... klasyk polskiego rocka... *(do reszty zespołu)* Zagramy ludziom? Zróbmy im rekonstrukcję jak w „997”. Szybciej załapią.

Muzycy chwytają za instrumenty i zaczynają grać utwór „Kocham cię jak Irlandię” zespołu Kobranocka. W zwrotce Marcyś myli słowa – zamiast „twoich czarnych oczu bliskość”, śpiewa „twoich pięknych oczu bliskość” – Makar w tym samym momencie zatrzymuje zespół.

MAKAR:

Nie dojechaliśmy nawet do refrenu. Jak być może państwo zauważyli, kolega pomylił się w tekście. Miało być: twoich czarnych oczu, poszło: twoich pięknych oczu.

MARCYŚ:

Nigdy nie lubiłem tej piosenki.

MAKAR:

Gramy dalej, a tu nagle na scenę wtacza się jakiś pijany koleś i drze ryja.

(wczuwając się w rolę pijanego fana Kobranocki)

Jakich pięknych?! Jakich pięknych?! Ja się na Kobranocce wychowałem, gówniarze, na Jarocin jeździłem, nauczcie się najpierw tekstów, jak chcecie przed ludźmi występować!

I znowu doszło do zamieszek, bo gość zaczął szarpać Marcysia, a nasz dzielny lider i przywódca w samoobronie dał mu w mordę.

JAROMIR:

I znowu musieliśmy zwiewać.

MARCYŚ:

Okazało się, że w Wojkowie istnieje cały fan-club Kobranocki. A niektórzy fani Kobranocki interesowali się również baseballlem.

MAKAR:

A tydzień później było Grabowo. Piękna miejscowość.

LIZZY:

Tam też było nieźle.

Muzycy grają parę taktów „Every Breath You Take” grupy Police.

MAKAR:

Poszerzyliśmy repertuar, sięgnęliśmy do klasyki zagranicznej i wszystko byłoby ok., gdyby nie fakt, że Marcyś znowu nie spotkał się z odpowiednim uznaniem zgromadzonej publiczności...

LIZZY:

Po prostu na scenę wdarł się lokalny wariat. I odebrał mu mikrofon.

MARCYŚ:

Mogliście przerwać.

MAKAR:

Ale to śmieszne było.

MARCYŚ:

Jak dla kogo.

JAROMIR:

Zostałeś zrecenzowany przez publiczność. Wiem, że to boli, ale krytykę trzeba umieć przyjąć z podniesionym czołem.

MARCYŚ:

Tylko go rozochociliście.

MAKAR:

Faktycznie. Marcyś bał się już kogokolwiek bić, a facet za nic nie dał się spędzić ze sceny po dobroci. No i zaśpiewał z nami wszystko. Pod koniec nieźle się rozkręcił. „Kocham cię kochanie moje” wykonali z Marcysiem w duecie.

(pauza)

A potem był Sokołów. Tam w sumie nic ciekawego się nie działo. Była dobra pogoda, ludzi się zważyło więcej niż dotąd, atmosfera przyjazna...

JAROMIR:

Bardzo przyjazna.

MAKAR:

Tylko, że w przerwie ktoś Jaromirowi ukradł talerze. Wszystkie. Łącznie ze statywami.

JAROMIR:

Gdybym ja dopadł tego gnoja, który mi to zrobił...

MARCYŚ:

Co chcesz, policja jeszcze nie zakończyła poszukiwań.

JAROMIR:

Ale po co komu talerze?

MARCYŚ:

Może wsparłeś jakąś młodą kapelę?

JAROMIR:

Już to widzę. Prędzej ktoś je przerobił na grilla.

MAKAR:

W Sokołowie więcej już nic nie wydarzyło. Zagraliśmy bez talerzy. A Jaromir w każdej przerwie biegał po wsi i straszył miejscową ludność prokuratą.

LIZZY:

Dobrze, że po mordzie nie dostałeś.

MAKAR:

Ale tydzień później pojechaliśmy już do Dobrzanki...

JAROMIR:

Zespół Exterminator upada po raz pierwszy.

LIZZY:

No, to zależy, jak liczyć.

MAKAR:

W zasadzie wolałbym o tym nie mówić, to są zbyt bolesne wspomnienia.

MARCYŚ:

Nie, powiedzmy ludziom prawdę. Powiedzmy wprost, że pod namową publiczności zagraliśmy utwór Chesney'a Hawkesa pod tytułem „The One And Only”, ale w polskiej wersji językowej. I to idzie tak...

Muzycy grają refren pieśni „Typ niepokorny”, spoularyzowanej przez Stachursky'ego.

MARCYŚ:

Tak. Bardzo dobry numer. I wykonanie też nienajgorsze. Moim zdaniem, oczywiście.

MAKAR:

Później były Liszki Górne. Głupia nazwa, ale trudno, taki region.

JAROMIR:

W Liszkach nic się nie działo.

LIZZY:

Normalna sztuka.

JAROMIR:

Rutyna, można powiedzieć.

MAKAR:

Zapomnieliście, że tam po raz pierwszy wykonaliśmy „Jest już ciemno”.

JAROMIR:

No tak. Zespół Exterminator upada po raz drugi.

MARCYŚ:

Potem były jeszcze Budzikowice...

Muzycy grają refren „Kolorowych jarmarków”.

MARCYŚ:

Tak to jest, jak zespół ulega swojej widowni. Traci wtedy własny charakter i zaczyna odcinać kupony od łatwo zdobytej popularności.

LIZZY:

Ale wójt, trzeba przyznać, był już wtedy bardzo z nas zadowolony.

JAROMIR:

O tak, bardzo.

MAKAR:

Gmina zaoszczędziła kupę kasy. Gdyby mieli wynająć jakąś dancingową kapelę, poleciliby na parę tysięcy. A dobra kapela disco-polo kosztowałaby kilkanaście. Przynajmniej. A my byliśmy za darmo.

JAROMIR:

Taki wolontariat po prostu. Grasz o staż.

MAKAR:

A potem pojechaliśmy do Lubartowa. Przedostatni festyn na naszej trasie.

MARCYŚ:

W Lubartowie akurat padało i festyn przeniesiono z boiska do miejscowej świetlicy. No i tam okazało się, że frekwencja jest słaba, kiełbasek nie ma na czym usmażyć, piwa nie dowieźli, więc ludzie się rozeszli...

JAROMIR:

Wtedy na Polsacie leciało coś z Seagalem.

MAKAR:

Ludzie się rozeszli – ale nie wszyscy.

MARCYŚ:

Zostały panie z koła gospodyń wiejskich.

MAKAR:

Jezu, jak się wtedy zaprawiłem. Nawet nie musiałem przypalać.

MARCYŚ:

Ja połowy nie pamiętam.

LIZZY:

Ja też.

JAROMIR:

A ja niestety pamiętam wszystko.

MARCYŚ:

Okazało się, że panie mają wino własnej roboty. Zanim się zorientowaliśmy, już byliśmy w serdecznej komitywie. Rozstawiliśmy sprzęt i przystąpiliśmy do części artystycznej. W doborze repertuaru wykazaliśmy się daleko idącą elastycznością.

Muzycy wykonują refren pieśni biesiadnej pt. „Zachodźże słońeczko”.

JAROMIR:

Zespół Exterminator upada po raz trzeci. I odtąd leży i już nie wstaje.

MARCYŚ:

Po tym mieliśmy już potwornego kaca.

MAKAR:

Faktycznie. Łeb bolał mnie przez dwa dni.

MARCYŚ:

Nie o to mi chodzi. Chodzi mi o kaca moralnego.

MAKAR:

A tak, tak. Oczywiście.

MARCYŚ:

No właśnie. Teraz sobie żartujemy, ale wtedy nie było nam do śmiechu. Lubartów to było jednak przegięcie. Mówiłem, że metalowcy mają swoje zasady. Mówiłem, prawda? No więc takich zasad nawet nie trzeba nigdzie kodyfikować. Nie występować na festynach, nie grać ludowych przyśpiewek? No, proszę państwa, nikomu nawet nie przyszłoby do głowy taka możliwość. Zanim się zorientowaliśmy, byliśmy na dnie. *(pauza)* No więc właśnie wtedy nasze morale diabli wzięli.

MAKAR:

No fakt.

JAROMIR:

Jak wytrzeźwieliśmy, mieliśmy wszystkiego dosyć.

LIZZY:

Pewne granice zostały jednak przekroczone.

MAKAR:

Bez dwóch zdań.

JAROMIR:

Wpadliśmy w gówno po uszy. Nawet twoja żona przestała się już z nas śmiać.

LIZZY:

Uhm, zaczęła nam współczuć.

JAROMIR:

A to był zły znak.

LIZZY:

Ale z drugiej strony wójt zadzwonił do nas z gratulacjami. Panie z Lubartowa nie mogły się nas nachwalić. Zapraszały nas na dalsze występy.

MARCYŚ:

Tak, wójt był zachwycony. Ale my nie. I kiedy pojechaliśmy na ostatni festyn, do Rogowa, marzyliśmy tylko o jednym – żeby ten koszmar wreszcie się skończył. Żeby było już po dożynkach, żebyśmy mieli kasę, zabukowane studio, no i żebyśmy umieli usunąć z pamięci wszystko, co stało się przez te cholerne wakacje.

JAROMIR:

„Cheri, cheri lady” zagraliśmy tam nawet bez specjalnych oporów.

LIZZY:

I jeszcze coś Bajmu.

MARCYŚ:

Najgorsze było jednak co innego... Zaraz, czy ja już wspomniałem, że Rogów to rodzinna wioska naszego wójta? Nie? No właśnie. To kluczowa informacja.

JAROMIR:

Zasadnicza.

MARCYŚ:

Mów dalej, Makar, ja nie mogę.

MAKAR:

Co tu dużo gadać, wójt dał w palnik i tyle.

MARCYŚ:

Był u siebie, więc puściły mu wszystkie hamulce. Przyuważył nas, przyszedł, ze dwa razy o mało się nie wypieprzył, i powiedział... Jak powiedział, Makar?

MAKAR (*naśladując pijacki bełkot*):

Zagracie na weselu mojej córki. Tydzień po dożynkach weselicho wyprawiam! Mojej Kasi!
Kochane chłopaki! (*już normalnym tonem*) I zaczął mnie całować.

MARCYŚ:

Odjęło nam mowę.

LIZZY:

Ja myślałem, że on żartuje.

MARCYŚ:

Ale nie żartował. Chcieliśmy się wykręcić, ale powiedział, co następuje... Makar?

MAKAR:

Albo gracie, albo gówno ze stypendium.

LIZZY:

Potem myśleliśmy, że jak wytrzeźwieje, to zapomni.

MAKAR:

To ten Lubartów tak nam zaszkodził.

MARCYŚ:

Wszystko nam zaszkodziło. (*pauza*) Dostaliśmy w dupę na własne życzenie. Ale tego było już za wiele.

MARCYŚ:

No i w końcu dotarliśmy do dożynek. Miałem, kurwa, swoje urodziny.

JAROMIR:

Wchodzimy na stadion, a tam wielka scena, stragany, karuzele, wystawa maszyn rolniczych, konkurs na najpiękniejszy wieniec... Normalnie cała wieś tańczy i śpiewa.

MARCYŚ:

Mieliśmy nadzieję, że wójt zapomni o swojej propozycji, ale nie zapomniał. Tuż przed koncertem wszystko nam powtórzył. Słowo w słowo.

JAROMIR:

No, gównno zmienił na guzik.

LIZZY:

No to tak na odczepnego, półzartem, spytałem go: za ile to wesele? A on powiedział: Chcecie stypendium, gracie za darmo.

MARCYŚ:

Więc byliśmy wściekli. Naprawdę byliśmy wściekli. I kiedy weszliśmy na scenę...

LIZZY:

Warto tu wspomnieć, że twoje ukochane Kombi wciąż jeszcze nie dojechało.

MAKAR:

Ich techniczni natomiast, owszem, byli na miejscu...

MARCYŚ:

Mieliśmy zacząć od Zeppelinów. Tak planowaliśmy. Ale wyszło inaczej.

MARCYŚ:

Patrzemy w dół, na pierwsze rzędy i widzimy wójta, w towarzystwie tych wszystkich pajaców z województwa i starostwa. A ten nam jeszcze macha, skubany, i klaszcze... I wiemy już, że żadnego Led Zeppelin tu nie będzie. Że przyszła taka chwila, kiedy trzeba dać komuś w mordę. I że wreszcie zagramy coś swojego.

Jaromir odlicza rytm na hi-hacie – po sekundzie słychać ogłuszający łomot perkusji i potężne, przesterowane gitary. Marcyś podbiega do mikrofonu i ryczy: Jesteśmy Exterminator!!! AAARRRGGGHHH!!!”, na scenie rozpętuje się prawdziwe death metalowe piekło.

MARCYŚ:

O, właśnie to jest death metal. Mówiłem, że jak przyjdzie czas, to się dowiecie.
To był właśnie nasz kawałek „In The Mountains Of Madness”

JAROMIR:

Czyli „W górach szaleństwa”. Mój tekst, proszę państwa.

MARCYŚ:

Nie cały kawałek, co prawda, ale spora część. Bo po prostu nas wyłączyli. Wyjęli wtyczkę z kontaktu i tyle. Oczywiście na żądanie wójta. Oczywiście dokładnie tego się spodziewaliśmy. *(pauza)* I co potem? Wiocha stoi jak zamurowana, szanowni goście rozdziawiają gęby, ksiądz szuka kropidła, a na nas biegnie wójt i macha rękami, że jesteśmy załatwieni, że gównem nie stypendium, a chwilę później, już prawie za stadionem, bo myśmy po prostu poszli do wyjścia, dopada nas Magda... To znaczy moja żona, jakby ktoś z państwa zapomniał... *(do Magdy)* No chodź tu, chodź. Nie wstydz się...

Na scenie pojawia się Magda i cmoka Marcysia w policzek.

JAROMIR:

Jezu, dajcie już sobie spokój...

MAKAR:

No właśnie. Wtedy też zaczęli się całować... Przy ludziach.

JAROMIR:

Straszna ženada.

MAGDA:

Wicie przecież, że laski lecą na muzyków.

JAROMIR:

Laski. Nie żony.

LIZZY:

No i ci się całują, stadion wyje, zaraz na scenę wejdzie Kombi, a tu nagle koło nas pojawia się jakiś zziąjany facet...

JAROMIR:

Długie włosy, bojówki...

LIZZY:

I koszulka...

MAKAR:

Koszulka z logo Aggressor.

MARCYŚ:

Tej kapeli, z którą mieliśmy wtedy jechać na trasę...

JAROMIR:

Wtedy, kiedy wymiękłeś.

MARCYŚ:

Nie wymiękłem.

MAGDA *(do Marcysia):*

Wymiękłeś. Wiedziałaś, że chłopaki nie będą się dopytywać, bo leżałam na ginekologii. A to był banalny zabieg. Usunięcie cysty...

MAKAR:

Jezu, Magda, przestań...

JAROMIR:

Nie przy jedzeniu...

MAGDA:

Lekarz śmiał się z ciebie, ale ty się zaparłeś, że będziesz mi towarzyszył. Jakby mi, nie wiem, nowotwór usuwali. Moja operacja, ten zabieg, to był tylko pretekst, żeby nie jechać w tę trasę.

MARCYŚ:

No dobra, może masz trochę racji.

MAGDA:

Trochę!

JAROMIR:

O, proszę, i tak wszystko powoli się kończy pięknym nappy endem... Wreszcie wyjaśniliście sobie parę spraw...

MAKAR:

Nic się nie kończy. Dawaj dalej, Lizzy. No, o tym, jak to było z tym gościem... Z Jackiem...

LIZZY:

Z Jackiem? Aha! No tak. Zgubiłem wątek. Wyobraźcie sobie, lider Aggressor! U nas w Kochanowie, na dożynkach!

JAROMIR:

Teraz robił dla Kombii, był ich technicznym. Jego kapela mocno podupała, coś tam niby grali, ale słyhać o nich było mało. I teraz się okazuje, że nasz stary kolega od paru lat nosi gitarę za Skawińskim.

LIZZY:

...A jak zobaczył nas na scenie to mu opadła szczęka. I mówi: „Kurde, panowie, nie wierzę własnym oczom. To wy? Akurat mamy nowy kontrakt, Aggressor wraca na scenę. Za miesiąc jedziemy w trasę. I wy, kurde balans, jedziecie z nami”.

JAROMIR:

Zaniemówiliśmy normalnie.

MAKAR:

Co się odwlecze, to jednak nie uciecze.

JAROMIR:

Dokładnie.

LIZZY:

Ale jest jakaś sprawiedliwość dziejowa, nie! A kto wam mówił, że trzeba się postarać na dożynkach? No kto?

MAGDA:

A kto wam przekonał męża, żeby nie zostawiał kapeli?

MARCYŚ:

I kto tak pięknie zaśpiewał, hę?

JAROMIR:

A kto tak precyzyjnie bębnił, co? Przecież perkusja to jest szkielet każdego utworu...

MAKAR:

A od kogo się to wszystko w ogóle zaczęło, co?

Muzycy przybijają „piątki” – nawet z Magdą – poklepują się po plecach itd.

MARCYŚ (do publiczności):

Stypendium pewnie nie dostaniemy, ale co tam – za dwa miesiące jedziemy w trasę z Aggressorem!!! Trzeba zacząć próby, żeby nie dać plamy...

MAGDA (wieszając się na Marcysiowej szyi):

Mój ty kochany, metalowy misiu...

MARCYŚ:

Precz, kobieto...

MAKAR:

Jezu, to obrzydliwe.

Nagle na scenę wbiega Marcys-Junior.

MARCYS-JUNIOR *(do publiczności, „po dorostemu”):*

Fantastyczne perspektywy na przyszłość. Normalnie nie mogę się doczekać!

KONIEC